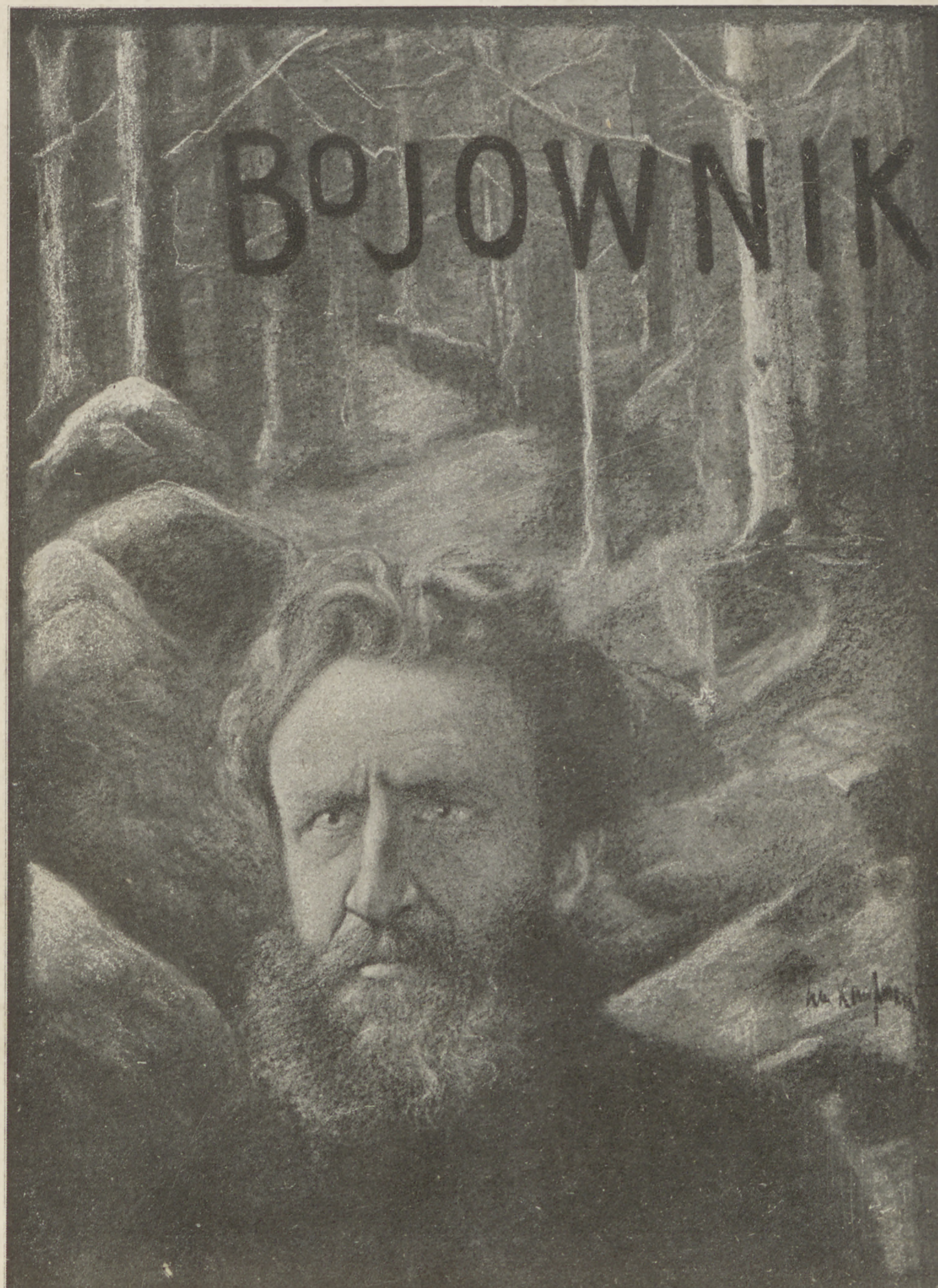

EX-LIBRIS
RS
EUGENJUSZA PRZYBYŁA


BOJOWNIK

Bojownik.

Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki.

Wacław Nałkowski.

Bojownik.

FANTAZYA.



Warszawa.
Stefan Demby.
1904.

Дозволецо Цензурою.
Варшава, 27 Августа 1903 г.

Cieniom poległych bojowników

poświęcam.



Nad polem walki gasły ostatnie krwawe promienie gwiazdy dziennej; zapadała noc—wietrzna, chmurna, czarna...

Na złomach skał, na wzgórzu, wysuniętem ku pozycyom wroga, konał samotny wojownik. W duszy umierającego tłoczyły się wspomnienia i gorączkowe wizye; przesuwały się błyskawicznie obrazy walk całego życia, które było jednem nieprzerwanem ich pasmem. Dusza wiodła jeszcze dalej walkę, gdy ciało już uległo, strawione w zapasach, strącone ciosami.

Zdala, wśród nieprzeniknionej czarnej otchłani błyskały ognie nieprzyjacielskiego obozu i dochodziła wrzawa bar-

barzyńskich krzyków. To wróg ucztował, spijał toasty, wyprawiał tańce — dziękował bogom za pomoc.

Usta bohatera szeptały jakieś słowa, zrazu niedosłyszalne, lecz w miarę, jak fale powietrza unosiły je wdal, słowa te rozbrzmiewały coraz wyraźniej, coraz potężniej ponad wyciami wrażemi.

„Pamiętam Ciebie, kochanko lat młodzieńczych. Pamiętam Ciebie w jednej ze świątyń rodzinnego grodu, gdzie szedłem, dziecię pełne jeszcze wiary.

Widzę tam Twą postać, jakby przez mistrza wykutą z marmuru i ożywioną cudownem tchnieniem.

Na Twe śnieżysto-białe marmury, przysłonione falami hebanu, padały w mistycznym półmroku stłumione barwy gotyckiej świątyni.

Wtedy ja, dziecię wiary gorącej, przenosiłem mój wzrok z Ciebie na biały wyniosły posąg Maryi, a on malał i znikał mi z oczu, boś Ty była bardziej piękna, bardziej królewska, bardziej święta, niż Ona.

. . . .

Pamiętam ciebie, rzeko rodzinna; jakże piękną i drogą byłaś mi zawsze! Czy w chwilach, gdy budziłaś się ze snu, spowita w śnieżną oponę, i pierwsze wiosenne promienie zagrały w twych spiętrzonych lodach tęczowemi barwami; czy w czasie bujnego lata, gdy wzrok mój,

goniąc za twym modrym nurtem, ginął wraz z tobą w falującem szmaragdowem przestworzu łąk, utkanych kwiatami; czy nawet w czasie późnej łkającej jesieni, gdy szata zieloności, co cię zewsząd otulała, pożółkła i zwiędła, a ty, tęskniąc za nią, traciłaś swe modre barwy i bladłaś, niby dziewica na widok uwiędłych pamiątek.

Kocham ciebie, rzeko moja rodzinna, przyjaciółko i powiernico mych lat młodzieńczych. Twym wodom przejrzystym, ja, dziecię milczenia i dumy, powierzałem niegdyś marzenia i nadzieje pierwszej miłości, a później, złamane, rzucałem, gdym cię żegnał, na wolę twego nurtu, który je ze sobą unosił, coraz dalej, coraz dalej — póki nie znikły bezpowrotnie, jak te fale, co wówczas przed moim toczyły się wzrokiem.

. . . .

Pamiętam Ciebie, kochanko lat młodzieńczych — ujrzałem Cię znów w świątyni jarzącej, wspaniałej, przy wzniosłem brzmieniu organów. Niewolnica, kupiona na hańbę, mówiłaś słowa przysięgi kłamnej. A ten, co władzę szafowania dobrami miłości miał sobie nadaną od Boga, nadawał tym słowom wagę nierozerwalną i świętą.

Pamiętam jarzące okna bogatej sali weselnej, pamiętam dźwięki muzyki tanecznej — muzyki pogrzebnej.

Pamiętam was, noce bez snu, bez końca i was, poranki szare, mgliste — was, co nawet gardła wojowników zmuszacie do łkania. Pamiętam was, długie dni rozpaczy i bezczynu.

. . . .

Pamiętam was, żywiące związki przyjaźni, urno kojąca wspólnych cierpień i zawodów, zarzewie wspólnych pragnień i zuchwałych porywów. Pamiętam was, jak padałyście w błoto ziemi.

. . . .

Pamiętam was, wiedzy dumne, młodzieńcze marzenia; pamiętam was, wy orle poloty, jak w noce bezsenne wzlatywałyście ponad bezmiary oceanów, ponad gwiazd błyszczące korowody.

Pamiętam was, jak skrwawione rozbijałyście się o mur, w którym tylko drzwi nizkie, drzwi poniżenia prowadziły do wnętrza.

. . . .

Pamiętam was, o bracia w duchu; pamiętam wasze twarze wybladłe, rozpaczne—wasze postacie, głodem duszy i ciała zgnębione; pamiętam wasze zapomniane młodzieńcze mogiły.

Pamiętam was, niecnych kramarzy, nikczemników ple-

mię; pamiętam was, karły, gdyście na ciałach mych braci, na barkach moich, wzniesieni, sięgali bezczelnie po wszelkie dobra tej ziemi: po chleb, po miłość, po wiedzę, po sławę. Pamiętam wasz wzrok tryumfu, wasze twarze krwią naszą rumiane.

. . . .

Nie nam, o bracia, marzyć o szczęściu, bo szczęście to upodlenie; nie nam też zasiewać ziarna w ten grunt spodlony: trzeba nam chwasty i ciernie wyrwać z korzeniem, oddać zgniliźnie, lub ogniem spopielić--trzeba nam ogniem i żelazem przygotować grunt nowy dla ludzkości nowej!

. . . .

Już czuję, jak wszystka krew płomieniem nabiega mi do głowy, już duch walki pochłania mnie całego—kto z was się lęka, niech wraca do domu – ja idę ku nieprzyjacielowi!...



Wśród kłębów dymu bojowego, wśród huku wysadzanych min, co ziemię z pod stóp mych wyrywały, szedłem naprzód ku pozycyom wroga—tam, gdzie sprawiedliwość pognębiona, gdzie prawda skrępowana, gdzie piękność upodlona, gdzie krzywda niepomszczona!



Wróg zawalił drogę ostrymi głazami, poryl przepaściami i krytymi dołami; poniszczył przede mną wszystkie źródła życia.

Palilo mnie pragnienie; wszystka woda na mej drodze była zatruta, wszystka roślinność spalona; tylko martwe bezlistne ciernie sterczały jak szkielety i zagradzały mi drogę. Musiałem pić wodę zatrutą, cuchnącą, która jeszcze zwiększała spiekotę w gardle, szarpała wnętrzności. Lecz to potęgowało tylko wściekłość, co mnie naprzód parła.

Śród cierni, sterczących na mej drodze, dostrzegłem postać kobiecą, której ciemne powłóczyste szaty uplątały się w kolce; było w niej coś z dumy królowej i coś ze smutku harfiarki wędrownej, co tęskni za krajem dalekim. Wielkie popielate warkocze owijały koroną jej głowę o nieskazitelnym profilu greckim, pierś jej niknęła w fałdach szalu czarnego. Pokłuta cierniami, dławiona dymem, chwiała się na nogach, jak cień, lecz nie lękała się ciosów i iskra walki błyskała chwilami w jej oczach. Wyciągnąłem do niej ręce i, unosząc ją prawie, poszedłem dalej z nią razem. Szła w mem pobliżu, jak postać napół z ciała, napół ze mgły utkana; nad jej bladem czołem świeciła gwiazda cierpienia; w ręku niosła harfę, której ciche dźwięki chwilami łagodziły ból moich ran, to znów go potęgowały poczuciem bólu cudzego.

Czasami dym czarny się rozwiewał i na chwilę, niby przez jakieś okno cudowne, dostrzegałem z boku, zdala od mej drogi, kawałek świata; wzrok mój z pośród dusznych, palących ciemności poił się cudownym błękitem

nieba, świeżą zielenią gajów, lazurem gór dalekich; ścigał srebrzyste wstęgi rzek, owianych mgłą błękitnej dali.

Wśród tych widoków natury dostrzegałem zdala postacie kobiece, zlewające się z nimi w jedną całość życia Obrazy te przesuwały się przede mną szybko, jak mgnienia. czyniły wrażenie złudnych miraży lub niknących obrazów, czarnoksięskiej latarni. Każdy taki świetlany, drgający obraz znikał w tajemniczej otchłani kłębów kirowych.

Niektóre z tych obrazów podsuwały się bliżej i trwały dlużej; mogłem wyraźnie rozróżniać ich kształty i lot ich w mej myśli zatrzymać.

Raz, gdy rozwarło się okno śród dymów, ujrzałem tuż przy mej drodze żywiołową zieleń lasu górskiego; z niknącego w niej wąwozu skalnego wypływał burzliwy, spieniony potok i w szumiących kaskadach, u stóp szarych omszonych kolosów z granitu, rzucał się w łąkową dolinę; na jej początku, pod cieniem drzew rozłożystych zielony kobierzec pagórka, zwilżony rosą wodospadu, znikał prawie pod żywemi barwami fiołków.

Po dzikich, omszonych złomach skalnych zbiegała ku potokowi postać dziewicza, postać rusałki tych lasów. Natura obrazu zaklęła w tę kobietę wszystkie swe wdzięki i siły: i niepowstrzymaną burzę spienionego potoku i błyskawiczną zwinność srebrnych rybek, igrających z jego nurtami i dzikość skał i nieprzeniknioną tajnię

lasu górskiego i płochliwość jego mieszkańców skrzydlatych. Liliowa białość jej ciała tonęła w powiewnej, perlistej mgle wodospadu, lśniącej w promieniach słońca tęczowemi barwami. Krucze jej włosy, spadające w pierścieniach na ramiona, były utkane fiołkami. Żywy powiew gór poruszał te włosy, muskał niemi jej czoło i przysłaniał oczy. — Wstrząsnęła głową, podniosła rzęsy z jedwabiu i spojrzała dokoła. — Oczy jej były pełne dzikich błysków, niedowierzania, niepokoju — jak oczy ptaka leśnego, co, wychyliwszy głowę z gęstwiny, rozgląda się badawczo, płochliwie i ściąga co chwila skrzydła, gotów się poderwać za najlżejszym szelestem. Zeszedłszy na brzeg potoku, rozchyliła swe usta wiśniowe i skrytemi w nich perłami śmiała się do sióstr swoich, srebrzystych rybek strumienia — wreszcie rzuciła się w spienione nurty potoku w zawody z siostrami.

Od tego obrazu powiało na mnie rzeźwiące tchnienie wiosennego poranku. Zdało mi się, że zmartwychpowstałem: zduszony potok życia wezbrał we mnie, jak niczem niepowstrzymana potęga. — O naturo, ty niepojęta, czemkolwiek jesteś, dzięki ci, dzięki za życie! Chłonąłem powiew ten, co z zielenią i muzyką lasu, z szumem potoku, z wonią fiołków niósł mi woń jej życia, woń życia kobiety — natury. O gdyby z nią pospołu rzucić się w te chłodzące nurty spienione i na rwących

falach wodospadu pędzić, tonąć w potoku—szale! O gdyby, jak ona, dzikim ptakiem, ptakiem leśnym być; z nią, uściskiem związany, przelatywać ocienione knieje i przewiewne hale; chłodną rosą poranku zwilżać swe oczy spalone — śród mchów puszystej zieleni, śród radosnej melodyi lasu, śród wonnych pereł konwalii unosić się, śpiewać, żyć!..

Lecz nowe kłęby dymu zasłoniły mi nagle ten czarowny obraz życia; war boju znów przeniknął mnie i porwał... Szedłem znów naprzód ku nieprzyjacielowi, tam gdzie sprawiedliwość pognębiona, gdzie prawda skrępowana, gdzie piękność upodlona, gdzie krzywda niepomszczona!

Dym wyżerał mi oczy, wysuszał gardło; język przywierał mi do podniebienia, z którego spalona skóra odpadała skrwawionymi, zczerniałymi strzępami.

Grunt poszarpany minami, przeżarty jadem dymów, był grzązki; zapadałem weń co chwila, a piekące błoto przegryzało me nogi. Napróżno upatrywałem twardych, niewzruszonych skał, by na nich nogę swą oprzeć: nawet skały za dotknięciem rozpływały się w cuchnące błoto lub rozsypywały w ostry gruz, który kaleczył me stopy. Lecz szedłem wciąż naprzód, owiany kłębami dymu, ciosy nieprzyjaciela, coraz częstsze, odbijały się od mej piersi na ból wytrwałej i od kosztownej tarczy, przeze mnie wykutej.

Często drogę moją przecinały rzeki; wody ich brudne,

cuchnące, gęste, roiły się od gadów; zatrzymywałem się, przejęty niewymownym wstrętem, szedłem długo wzdłuż brzegów, szukając wyminięcia, obejścia — napróżno! — tylko przez nie prowadziła droga do celu. Po nadludzkiej walce wewnętrznej, ja, co pragnąłem kryształowych potoków górskich, rzucałem się w te obrzydłe męty i przepływałem na brzeg przeciwny. Lecz z wód tych wyniosłem skłębione gady, które wpijały się we mnie z taką zajadłością, że musiałem je odrywać wraz z kawałami mego ciała. Otrząsnąwszy się z bólu i wstrętu, szedłem dalej, lecz droga była długa, szedłem tak po niej już lata całe, siły moje zaczęły się wyczerpywać...



Gdy znowu dym się rozwiał na chwilę, ujrzałem inny obraz życia. Śród niezmąconej, upajającej pogody dnia letniego, śród niwy złotokłosej, utkanej barwami bławatów, maków i kąkoli, zaledwie lekko falującej pod łagodnem tchnieniem ciepłego, miękkiego powietrza, rozścielała się smuga soczystej zieleni łąk, jak niegdyś w mojej krainie rodzinnej; pośród łąki, pod liśćmi kaliny wila

2

się falista wstęga cichego, sennego strumyka; w jego zwierciadlanej powierzchni odbijały się korony wysokich, ciemnych olch. Na jego brzegu stała inna postać kobieca, w którą przyroda zaklęła spokój i barwy niwy zbożowej. Barwny ubiór dziewczyny wiejskiej okrywał tę postać, pełną spokojnej siły; z pod rozchylonego gorsetu pierś jej falowała tak spokojnie i bujnie, jak niwa; bose jej nogi zmywała woda strumienia; w złotopłowych włosach, splecionych w warkocze, tkwiły bławaty i maki. Jej twarz, opalona przez dobroczynne promienie słońca, tchnęła ciepłem i zdrowiem; oczy jej, jak niebo pogodne i dobre, patrzyły przed siebie spokojnie i ufnie, lecz nie bez poczucia swej siły.— Śpiewała pieśń pastuszą, która zlewała się w jedną melodyę ze śpiewem skowronka w błękicie...

Fala spokoju i dobroczynnego ciepła płynęła na mnie od tego obrazu, przenikała wszystkie tkanki mego znużonego bojem organizmu jej życiodawczem tchnieniem, chyliła me powieki do ożywczego snu... O, gdyby strumieniem być, strumieniem spokojnym, sennym, u stóp jej, u stóp jej senny wypocząć na chwilę, jak wypoczywa w oazie znużona drogą karawana, biorąc zapasy życia na dalszą podróż przez bezmiar spiekłej pustyni!...

Wyciągnąłem ręce i rzuciłem się w bok, w stronę tego obrazu; lecz przede mną rozwierała się przepaść niezgłębiona; wytężyłem wszystkie siły, by ją przesadzić, lecz

ciężyły mi tkwiące za pasem pociski i tarcza zwieszona u ramienia; porywał mnie pęd pierwotny. Krawędź przepaści, przegryziona dymami, rozkruszona, obsunęła się pode mną; przez chwilę chwiałem się nad otchłanią, usiłując się utrzymać, lecz chmura dymu owinęła kirem świetlaną postać obrazu i grudy rozkruszonej ziemi potoczyły się ku niej z głuchym łoskotem mogilnym; a tuż przy mym boku posłyszałem smętne dźwięki harfy, dźwięki o szczęściu minionem, dźwięki zrywających się strun... Więc runąłem w przepaść, staczając się po rozkruszonych zboczach w pędzie coraz szybszym.

Wtem od strony nieprzyjaciela wyjący wicher przyniósł mi okrzyki radości i tryumfu — zawrzałem; wryłem się w rozkruszoną skałę nogami, wpiłem paznogciami, wgryzłem zębami — i znów wydostałem się na wierzch, pod gradem nieprzyjacielskich pocisków, na drogę — na moją drogę.

Ostatni obraz znikł; dokoła otaczały mnie znowu ciemności. Ciało moje było poszarpane, pokryte gryzącem błotem, które mnie zatruwało. Powstałem jednak, wyprostowałem się, wyplułem z ust i krtani masę błota ze krwią i pianą i znów poszedłem naprzód ku nieprzyjacielowi — tam gdzie sprawiedliwość pognębiona, gdzie prawda skrępowana, gdzie piękność upodlona, gdzie krzywda niepomszczona.

I szedłem już ciągle śród nieprzerwanych, niczem nie-

rozjaśnionych ciemności. I już ani razu nie zboczyłem z drogi, i już ani razu okno życia nie rozwarło się przede mną.

Byłem już blizko nieprzyjaciela, napotykałem coraz częściej ślady jego obozu — jego śmietniska, odpadki jego ohydnych uczt.

Dostrzegłem na mej drodze tę samą kobietę, którą wprzód widziałem dzikim wolnym ptakiem: dzikiego ptaka schwytali, obcięli mu skrzydła, zdeptali. Jej oczy, niegdyś dziko płochliwe, przyjęły wyraz wyzywający i cyniczny, jej twarz lilii białej stała się twarzą figury woskowej o sztucznych rumieńcach, jej usta wiśniowe miały teraz barwę ceglastą. Zdeptana, odtrącona przez wroga, markietanka jego, wabiła mnie teraz wstrętnymi ruchami, naśladującymi energię młodości; podawała mi kielich niedopitych mętów.

Zaledwie odwróciłem oczy od tego wstrętnego i bolesnego obrazu, spostrzegłem drugą kobietę, niegdyś widzianą: jej silna, prosta dawniej postać była teraz schylona, zgarbiona; oczy, niegdyś tak spokojne, pogodne, teraz szkliły się gorączką głodową; łzy wypaliły na jej twarzy głębokie bruzdy. Poznałem ją, bo miała na sobie tej samej barwy sukienkę, którą nosiła niegdyś; tę samą sukienkę, która niegdyś falowała bujną falą życia; ale barwy, niegdyś tak żywe, były teraz wybladłe — wszystko wybladło, zwiędło pod wroga wyziewem trującym!

Przymknąłem oczy, chcąc z tych strasznych ruin odtworzyć w duszy dawne cudne obrazy—lecz zmogło mnie znużenie i wstręt i rozpacz i wściekłość – przepadło, nie wróci!.. jak ci, co w świat cieniów odeszli.

Dwie postacie kobiece pod obozowiskiem wroga nie były samotne: za niemi snuły się ku obozowisku dwa, niknące w dymie, szeregi kobiet i mężczyzn—szereg głodnych i szereg skalanych!...

Kłęby dymu rozwarły się raz jeszcze, lecz poza nimi nie było już życia; ujrzałem tylko step pusty, martwy, bezmierny; na jego krawędzi, śród czarnych chmur, zwichrzonych, złowrogich, olbrzymia krwawa kula słońca zapadala w tajemniczą głąb. Panował tu spokój i cisza—spokój i cisza śmierci... Cień jakiś, długi, mroczny zdawał się przesuwać po stepie, jak widmo — cień skrzydeł ptaka stepowego, czy przeczuć złowróżbne odbicie?...

Przeniknął mnie dreszcz grozy, a potem żal bezmierny; skurcz łkania ścisnął mi gardło. O drogie, znikłe obrazy, powróćcie, powróćcie—niech w was wykąpię mój wzrok spalony; niech napoję me zmysły waszą wonią, niech się w was cały roztopię, rozpłynę; stanę waszą cząstką—naturą!—

. . . .

Nie! — ja nie chcę waszego powrotu, wzrok mój już niezdolny znieść waszego blasku. Kwiaty zdobią czoło młodości, lecz bywają też składane na trumnie. Dziś dla mnie wasz widok, nawet wasze wspomnienie jest jak pchnięcie sztyletu!

Nie! — Naprzód, naprzód!

Lecz ciało już nie posłuchało rozkazu ducha, nie byłem w stanie postąpić kroku; nie mogłem utrzymać głowy wzniesionej, nie mogłem oczu otworzyć i spojrzyć przed siebie. Wtedy chciałem już ustąpić z pola, schronić się, jak zwierz zraniony, do ciemnej samotnej jaskini. Wtem jakiś głos tajemny z wnętrza mej istoty zawołał: „co — ty miałbyś ustąpić, ty się ugiąć, ty!" Skurcz żalu znikł; teraz skurcz nienawiści i dumy ścisnął mi gardło. Zaciąłem zęby, podniosłem głowę, zwróciłem wprost oczy jak dwa ostrza stali i rzuciłem się wściekle w tę stronę, gdzie grom wystrzałów rozległ się najbliżej, gdzie w kłębach dymu zamajaczył wróg!

Wtem, grzęznąc wśród głębokiego, rozpalonego popiołu, spostrzegłem przed sobą coś drobnego, poruszającego się — jakąś istotę żywą. Była to maleńka myszka. Osmalona, ze skórą spaloną, krwawiącą, zaledwie dawała znaki życia, nie mogła się wygrzebać z zasypującego ją popiołu — biedna mysz!...

Podniosłem ją i odmuchałem jej oczka, zasypane po-

piołem — spojrzała na mnie z wyrazem dziękczynnym! Zakrywszy ją od razów, co się zewsząd sypały, zaniosłem wbok od drogi, złożyłem ostrożnie w dziuple zeschłego drzewa i zostawiłem jej trochę jadła — może odżyje, biedactwo!...

Lecz wróg przedemną! Mogę teraz rozróżniać wyraźnie pojedyncze jego postacie; spojrzałem im oko w oko; zdala wydawały się one ludzkiemi, lecz z bliska nie widać było w nich nic ludzkiego, przypominały raczej to różne zwierzęta, dziś żyjące, to zwierzęta z zamierzchłej doby dziejowej naszego globu, to jakieś mroczne potwory z męczących sennych widziadeł, łączące w sobie wszystkie organa drapieżców, krwiożerców — wszystkie złe potęgi świata. Śród nich rozróżniałem liczne potwory w szatach długich aż do ziemi; jedne wyschłe o pyskach lisich, ślepiach krogulczych; drugie opasłe o pyskach hipopotama, wargach obwisłych, lubieżnych. Pierwsze z okiem roziskrzonem liczyły zrabowane skarby, drugie rozbestwione tańczyły dokoła niewolnic, okutych w kajdany. Tym potworom w długich szatach wszystkie inne nizko się kłaniały — to byli ich szamani, chroniący ich za pomocą amuletów, zaklęć i rozsiewania dokoła nich ciemnych, trujących dymów. Dostrzegłem też wiele potworów małych, pękatych, o cienkich, ruchliwych nóżkach, które zginały komicznie, kłaniając się nizko na

wszystkie strony, zwłaszcza szamanom; na różowem, tłuszczowem ich cielsku rosła szczecina świńska — to byli ich bardowie, minstrele, sławiący ich czyny za resztki niepożartej strawy i świecące, brzęczące arlekińskie znaczki.

Widziałem też tam, niestety, i twarze ludzkie, postacie mych braci i sióstr: były skrępowane, zatrute dymami, zmuszane oddawać na pastwę tym potworom swe dusze i ciała. Nad opornymi znęcano się straszliwie: potwory napawały się ich cierpieniami, mszcząc się za to, że choć panowały nad nimi, choć wszystkie dobra życia były im dostępne, nie mogły jednak osiągnąć jednego — nie mogły stać się ludźmi.

Na widok ten cała moja istota zawrzała. Zbliżyłem się szybko, wyrwałem z za pasa pociski i wolno, miarowo, celnie miotałem je we wraże szeregi. Musiałem być oszczędny: kosztowne były to pociski. Włożyłem w nie cały war mej krwi, wytoczonej z żył; wszystkie kwiaty mego życia, zamienione w gromy; całą gorycz, co mi piekła gardło; wszystkie łzy, co dumą cofane ku wnętrzu, spadały niegdyś na dno mej duszy całą pianę mych ust, co kipiała przez wiecznie zaciśnięte zęby; cały szarpiący głód mego mózgu i całe rozpaczne brzemię jego przesycenia. Odważyłem to wszystko na szalach mych nerwów, co w ciągłej walce, co w nierozerwalnych płomieniach miłości i nienawiści stały

się wrażliwe, jak struny Eola; a miotałem całą siłą mej ręki, która w nieustannych zapasach nabrała prężności stalowej.

Z niecierpliwością śledziłem, jak wielkie zniszczenie pociski me sieją śród wrogich ludzkości potworów: rozrywały im żyły wampirów krwią, cudzą, krwią ludzką wypełnione; miażdżyły im ostro uzębione, przedwiekowe pyski jaszczurów; wysadzały na wierzch ślepie krogulcze wyrywały im sępie szpony, w których krwawiło się świeże jeszcze ciało ludzkie; skręcały im karki bycze, jak wiciny.—Rozrywały też i kajdany mych braci. I już przez rzedniejące szeregi wroga dostrzegałem przebijający się śród ciemności, różowy brzask jutrzenki.

Lecz do walk ziemskich mieszają się bogowie: los dopomaga — podłym; dla tego zapewne, by mężnych uczynić mężniejszymi, by siłę tego plemienia spotęgować do rozmiarów nadludzkich, by je uczynić kiedyś zdolnem do pokonania tajemniczej potęgi absolutu.

Więc gdym podniósł rękę i wtył się podał, by rzucić pocisk największy i zmieść wroga do szczętu, z nieba zaryczał orkan i cisnął mi w oczy tumany pyłu, który przeniknął cały mój organizm, wypełnił płuca — zbrakło mi tchu; nie mogłem znieść tego cierpienia.—Umrzeć chcę, umrzeć!...

Głos harfiany, ledwo dosłyszalny śród wycia orkanu,

szeptał mi błagalnie: „o ty nie umrzesz, ty żyć musisz o gdybyś tylko chciał żyć...“

Usta me wykrzywił uśmiech goryczy, choć z oczu polały się łzy. — Umrzeć chcę, umrzeć — w nicość utonąć!

O, gdyby świat cały wraz ze mną był jedną potężną miną i gdyby jednem dotknięciem sprężyny wysadzić siebie wraz z globem całym, rozpłynąć się napowrót w pierwotnym tumanie nieczujących, nieświadomych atomów!...

Wtem błyskawica rozdarła ciemności i grom piorunu, strzaskawszy harfę, rzucił mnie, duszącego się, na ziemię; zdało mi się, iż tonę w morzu płomieni... Gdzie jestem?... na ziemi, czy w piekle?... Żywy, czy umarły?...

. . . .

Nie, ja żyję jeszcze! Walka nieskończona! Z tajemnego wnętrza mej niezniszczalnej istoty nowa fala siły zawrzała, zakłębiła się, wybuchła i odparła, zmiotła fale zewnętrzne, fale nieba i ziemi, połączone na me zniszczenie.

Przejście za życia przez piekło nie było dla mnie tylko poetycznym zwrotem bardów; nie zbiegały mi też nigdy z nieba żadne wybawcze „anioły“. W tem piekle życia zeskalony powstałem bardziej silny, bardziej nieugięty,

bardziej hardy, niż przedtem. I gdy bogowie, wyczerpawszy swe ciosy, spoczęli zdumieni; gdy tuman zaczął opadać, a czarne szeregi wroga znów zamajaczyły przede mną, znów rzuciłem się naprzód, naprzód — ku wciąż ustępującym, lecz wciąż na nowo gromadzącym się przede mną, niezliczonym zastępom Arymana.“

Umierający bojownik rozwarł raz jeszcze powieki w oczach zaświeciły iskry; nadludzkim wysiłkiem ducha targnął się, uniósł, wyciągnął rękę przed siebie. — Naprzód naprzód! — zawołał — i runął martwy na głazy.

Różowe promienie świtu oblały skaliste wzgórze i padły na skamieniałą twarz zmarłego, ostrą, nieugiętą, groźną.

Dookoła niego i poza nim zmieniała się natura: popioły, krwią użyźnione, pokrywały się bujną zielenią; po drodze dawniej pustynnej, drodze śmierci, szła teraz śród zieleni gromada ludzi z muzyką i śpiewami; stąpali po mięk-

kim kobiercu kwiatów, soczyste owoce drzew schylały się ku ich ustom.

Jeden z gromady, wyniosły, dumny, piękny, jak Apollo, bezlitosny, jak przyroda, przeszedł po trupie, party żądzą życia. Towarzyszył mu orszak kobiet bujnych, pięknych, jak Wenery, potulnych, jak owce; czciły go i kochały, bo „nie zapomniał wziąć bata"; śpiewały mu pieśni zwycięstwa i miłości. Wódz spotykał jeszcze tu i owdzie jakieś rudery, nawpół rozwalone rogatki wroga; rozwalał je do reszty potężnemi kopnięciami. Spotykał też ciurów wroga, patrzących pożądliwie na bujne, faliste ciała kobiet; i ci od kopnięć wodza wywracali komiczne koziołki, co budziło podziw i wesołość śród orszaku kobiet, choć niejedna z nich, zbyt blizka pana, zawadzona niedbale jego nogą, padała z rzężeniem śmiertelnem. Na tej zabawnej igraszce z ciurami kończyła się walka, bo silni tego świata mają dla siebie pewne względy, a lew może zgodnie dzielić łupy z tygrysem.

U stóp wzgórza, na którem leżały zwłoki bohatera, drugi przybysz o rysach subtelnie pięknych, lecz zniewieściałych, legł na miękkim kobiercu kwiatów; dokoła niego ułożył się wieniec kobiet pięknych, lecz nikłych i bladych, tylko w ich wielkich oczach tlił się ogień gorączkowy. Całe to grono pobudzało się sztucznie do

życia; byli blizko trupa, kontrast między śmiercią a życiem pobudzał ich i ożywiał; wchłaniali „kwiaty grzechu“, z kryształowych pucharów spijali pieniący się napój. Śpiewali też pieśni, naprzemian bachanckie i nabożne, gdyż jednostajność nużyła ich szybko, a przytem pienia te podobały się ciurom wroga, którzy znosili za nie śpiewakom kwiaty i łakocie; a tak, piękno, „czyste piękno“, łagodziło barbarzyńskie instynkta wojenne.

Trzeci przybysz był bez orszaku; on wyrzekł się wszelkiego „zła“, hołdował ascezie – czy, że nie miał pragnień, czy, że był przesycony? Odziany w białą, powłóczystą szatę, przeszedł koło trupa z przebaczeniem dla tej duszy, pełnej nienawiści — tej duszy, która „nadaremnie sprzeciwiała się złu“, i kroczył, pełen miłości, ku ciurom wroga, którzy rozszerzonemi ślepiami spoglądali na trupa i w halucynacyi strachu dostrzegali, jak z niego, co walczył za miliony, wyrastały miliony nowych wojowników. Biała postać pochylała się łagodnie ku ciurom i nauczała ich miłości; wylęknieni, kryli się w obszerne fałdy białej szaty, a szata czerniała, postać karlała, dokoła robiło się ciemno i trudno już było coś w tej zgodnej ciżbie odróżnić.

Lecz tam na szczycie wzgórza, na szerokiej piersi bohatera, usiadł ptak srebrnopióry, ptak nieśmiertelny;

jedno skrzydło oparł na krwawiącem sercu człowieka, drugie — na jego czole z marmuru i, uniosłszy się w górę, poszybował, jak smuga ognista, jaskrawa; poszybował tam, kędy utkwiony był wzrok bojownika — przez pole wiecznej walki w bezgraniczną krainę ideału, gdzie w niknącej dali migocą niepewne brzaski zagadki bytu.

1898 r



WYDAWNICTWA

STEFANA DEMBEGO

(Warszawa, Marszałkowska № 72).

Amiel H. F. Z pamiętnika. Tłumaczyła z francuskiego Aleksandra Kordzikowska, studjum krytycznym poprzedził Władysław Jabłonowski. 1901. str. 146. 8° 1.20

Daniłowski Gustaw. Na wyspie. Poemat. 1901. str. 71. 8°, wyczerpane.

„ „ „ Wydanie II. 1902. str. 70. 4° . . . 1.00

„ „ Poezje. 1902. str. 92 i 2 nl. 8° wyczerpane

Demby Stefan. Bibljografja pism Aleksandra Świętochowskiego. 1867—1897. str. 79. 4° 1.50

Grossek Marja. Poezje. 1904. str. 221 i II. 4° 1.80

Or-Ot. Kronika mieszczańska. O Malchrze Gąsce raycy warszawskim, o piękney Zofce, córze Gąskowey, y o piórkosie z Francyey, historya wielce żałosna. Lata Pańskiego 1574. 1903. str. 35. 4° . . 1.—

Portret Aleksandra Świętochowskiego, ryty na miedzi przez Łopieńskiego 31×43,4 . . . . 1.—

Przybyszewski Stanisław. Śnieg. Dramat w 4-ch aktach. 1903. str. 113. 4° wyczerpane.

Sienkiewicz Henryk. Pisma, nieobjęte wydaniem zbiorowym. 4 tomy. 8°. 1901—1904 . . . . 5.—

t. I. Mikołaj Sęp Szarzyński. Kasper Miaskowski. O naturaliźmie w powieści. O powieści historycznej. str. 100 i 122, 1 nl. 1.50

t. II. Na marne, str. 274 . . . . 1.50

t. III. Humoreski z teki Worszyłły: 1. Nikt nie jest prorokiem między swemi. 2. Dwie drogi, str. 236 i 1 nl. 1.50

t. IV. Selim Mirza. Czy ci najmilszy? Sabałowa bajka, str. 158 i 5 nl 1.35

Sobieski Wacław dr. Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III-go. 1902. str. 199 i 2 nl. 8° 1.50

Stratz C. H. Piękność ciała kobiecego. 1904 . . . . 6.50

Szalay Stanisław. Pierwsze zasady fotografji. 1904. str. 73. 12°. . . —75

Tylor E. B. Antropologja. Wstęp do badania człowieka i cywilizacji (z rysunkami). Przetłumaczyła z angielskiego Aleksandra Bąkowska. Wydanie drugie. 1902. str. XI i 446. 8° . . . . 2.—

Walewska Cecylja. Autor, powieść współczesna. 1903. str. 346. 8° . 1.80